

MARGINESY

Spełnienie

Bartek przyzwyczał od najmłodszych lat rodziców i swoje otoczenie, że jest we wszystkim najlepszy. Jako mały bobas zaczął zaskakująco szybko mówić, pierwszy w klasie czytał i pisał całymi zdaniami. Na WF-ie szybko biegał i daleko skakał. Błyskawicznie uczył się języków, a także śpiewał w kościelnym chórze. Po prostu wymarzony synuś mamusi. I jedyny. Nikogo nie zdziwiło, że dostał się z jednym z najlepszych wyników na prestiżowe studia ani to, że przez cały czas ich trwania nie miał żadnej poprawki, za to otrzymywał wysokie stypendia.

Trochę gorzej było ze znajomymi Bartka. Niby miał kilku bliskich kumpli, jednak mimo wszystko traktowali go oni trochę z pobłażaniem. Doskonale wiedzieli, że tak naprawdę każdy świetnie zdany egzamin okupiony jest nocami ślęczenia nad książkami i kolejnymi opuszczonymi imprezami. No i w rzeczywistości było tak, że wielu tych „bliźszych” znajomych wykorzystywało go przy zdawaniu co trudniejszych egzaminów albo do „poprawek” własnych esejów. Sytuacja poważnie się zmieniła, gdy po ukończeniu studiów Bartek i jego koledzy zaczęli szukać pracy. Część przebojowych i zdolnych absolwentów założyła swoje firmy, część podjęła pracę w korporacjach i mniejszych przedsiębiorstwach. Bartek postanowił, że zostanie na uczelni i zrobi doktorat. Gdy go kończył, miał prawie 29 lat i żadnego doświadczenia zawodowego, bo do tego czasu utrzymywali go rodzice. I gdy ze swoimi kilkoma dyplomami zaczął rozglądać się za pracą wartą swoich umiejętności, po kilku tygodniach okazało się, że nie spadła na niego lawina propozycji nie do odrzucenia. Mało tego, koledzy, którym pomagał na studiach, zdążyli rozkręcić swoje firmy i wspiąć się na wysokie stanowiska, a także założyć własne rodziny. Jego nieśmiałe prośby o drobne wstawiennictwo czy napomknięcie o nim były traktowane raczej jako żart – nikt nie wyobrażał sobie przyjęcia kogoś bez jakiegokolwiek doświadczenia.

W tamtym czasie Bartek miał się różnych zajęć, które traktował jako prace poniżej swojej godności i „na chwilę”. Pracował za barem, był konsultantem telefonicznym i ciągle szukał czegoś na stałe. Jego frustrację potęgował w dodatku fakt, że mimo trzydziestki na karku co jakiś czas zmuszony był brać pieniądze od rodziców.

Pewnego dnia wydawało się już, że los się do Bartka uśmiechnął – duża, znana firma, o której mówiło się, że bardzo szanuje swoich pracowników, upomniała się o niego. Zaproszono go na rozmowę, do której skrupulatnie się przygotował, dokładnie przemaglowano i finalnie – przyjęto. Bartek nie wierzył we własne szczęście. Tego samego dnia pozwolił mamie, za jej oszczędności, kupić sobie nowy, porządny garnitur i piękny zegarek. Był pewien, że już niebawem zwróci jej wszystkie zainwestowane w niego pieniądze, jak i te pożyczane przez ostatnie lata, a za jakiś czas będzie go stać na wykupienie rodzicom długiej zagranicznej podróży.

Rzeczywistość okazała się jednak zupełnie inna. Bartek nie dostał świetnie płatnej posady na wysokim stanowisku, ale małe biurko w open space – pomieszczeniu z dużą liczbą biurka poprzedzielanych przepierzeniem. Choć wielokrotnie powtarzano mu, że pracuje z najlepszymi i dla największych, dawne frustracje powracały. Bartek miał, co prawda, możliwość awansu, ale gdy już się ona pojawiała, szybko wykorzystywali ją dużo młodszy pracownicy. W takiej stagnacji tkwił dwa, może trzy lata. Codziennie jadł mdłe śniadanie, ubierał szary garnitur, przez osiem godzin odbierał telefony i spisywał raporty, po czym wracał do swojej małej kawalerki, gdzie najbardziej wartościowe przedmioty pochodziły z Ikea. Przez te lata stracił całą pewność siebie i wiarę w to, że coś znaczy. Nie było już mowy o rozmyśleniach nad zmienianiem świata. Nie stać go było nawet na to, żeby zaprosić jakąś kobietę na porządną kolację.

Kiedy we wrześniu w jego liceum, w którym przecież przez lata brylował, odbywał się zjazd absolwentów – nie pojechał. Głupio byłoby się mu pokazać przed tymi wszystkimi matułkami, którzy ściągali na matematyce, a teraz mają firmy o niewyobrażalnych dochodach, w swoim wyświechtanym garniturku. W tamtym okresie czuł, że coraz bardziej się pograża, a jego marzenia stają się coraz mniejsze i mniejsze. Także wtedy jego bezpośrednim przełożonym został chłopak kilka lat od niego młodszy, z kiepskim wykształceniem i nieumiejący poprawnie sklecić zdania. Gdy kolejnego dnia dostał do wykonania absolutnie bzdurne zadanie, nie wytrzymał i wyszedł z biura. Tego popołudnia biegł ile sił w jego inteligentnych nogach. Przez całą kolejną noc planował, że zabije i przełożonego kretyna, i małutkiego, smutnego człowieczka, który był szefem jego działu, a może nawet szefa szefów – krępego, łysiejącego brzydala. Na tych planach minęła mu noc, a wszystkie te myśli niezwykle poprawiły mu humor.

Następnego poranka przez chwilę się wahał, ale ubrał się jak zwykle i ruszył do pracy. Wyjątkowo, chyba pierwszy raz w życiu, był spóźniony. Stał w holu biurowca i uzmysłowił sobie, że chyba pierwszy raz patrzy na wszystkich tych ludzi z dystansem – i na smutnego człowieczka, i na przyszczonego przełożonego kilka lat odeń młodszego.

Bartek nie zrobił oszałamiającej kariery, nie napisał nic, co przez następne dekady byłoby wspominane jako wybitne. Ale tamtego wrześniowego wieczoru spakował torbę, sprzedał, co tylko się dało, mocno uściskał rodziców i wyjechał. Przez kilka miesięcy podróżował po Ameryce Południowej, potem trochę po Azji. Zatrzymywał się i jechał dalej, gdy miał na to ochotę. Długo myślał nad sensem powrotu, ale jednak nie mógł zostawić rodziców samych. Po przyjeździe znajomi, których jeszcze miał, nie poznali go. Był opalony, bardziej wysportowany, wydawał się wyższy i wyprostowany. Założył własną jednoosobową firmę, którą przez kolejne lata rozkręcał, ale przede wszystkim pierwszy raz w życiu czuł się naprawdę niezależny, wolny i spełniony.

Zima odchodzi

Wiosna tuż, tuż, choć aura nadal płata figle i straszy nas deszczem ze śniegiem oraz porannymi przymrozkami. Kończy się rywalizacja w sportach zimowych. Na mistrzostwach świata w biathlonie polska ekipa nie zanotowała sukcesów. Finiszują biegaczkami i skoczkami. Coraz więcej i głośniej mówi się o futbolu. Wiadomo, EURO 2012 coraz bliżej.

UCIEKŁ PUCHAR

Wszystko wskazuje na to, że Justyna Kowalczyk nie zdobędzie po raz czwarty z rzędu Pucharu Świata. W ostatnim biegu na 30 km stylem klasycznym zajęła drugie miejsce, przegrywając z Marit Bjoergen o 51 sekund. W efekcie Norweżka powiększyła przewagę nad Polką do 138 punktów, a to dużo na finiszu rywalizacji. Do zakończenia tegorocznej edycji Pucharu Świata pozostały jeszcze cztery biegi. Ostatni odbędzie się w niedzielę 18 marca.

Można więc śmiało powiedzieć, że rywalizację wygrała Marit Bjoergen, chociaż istnieje teoretyczna szansa, by Justyna Kowalczyk wyprzedziła Norweżkę – Polka musiałaby zanotować cztery zwycięstwa w ostatnich czterech biegach, a Norweżka musiałaby w tych biegach uplasować się w najlepszym przypadku na trzecim miejscu. Marzenie nie do spełnienia – Marit Bjoergen na finiszu zawodów o Puchar Świata prezentuje bowiem wyśmienitą formę, co potwierdziła w niedzielnym biegu na 30 km stylem klasycznym. By zdobyć Puchar Świata, wystarczy, że zajmie drugie miejsce w ostatnich czterech biegach.

Drugie miejsce Justyny Kowalczyk w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata również należy zaliczyć do sukcesów. Nasza biegaczka przez cały sezon musiała walczyć z norweską koalicją. Wygrywała i była nawet swego czasu na pierwszym miejscu, choć ostatecznie sezon zakończyła na miejscu drugim. Inne zawodniczki, takie jak Szwedki Charlotte Kalla i Anna Haag, Finka Aino Kaisa Saarinen czy Kikken Randall z USA, były tylko tłem tej rywalizacji.

Występy Justyny Kowalczyk dostarczyły sympatykom sportu, a przede wszystkim narciarstwa dużo emocji. Myślę, że dostarczyły nam także wiele radości. Za to należą jej się serdeczne podziękowania.

WIETRZNY KONKURS

Tak można nazwać ostatni konkurs skoków narciarskich w Oslo. Skoczkom przeszkadzał wiatr, który z chwili na chwilę zmieniał kierunek i siłę. Trzeba było mieć sporo szczęścia, by nie trafić na niespodziewane poddmuchy. Warunki były zatem wyjątkowo złe i wypaczyły rywalizację. W dodatku organizatorzy do końca nie potrafili się zdecydować, jaką ustalić długość rozbiegu. Zmieniano więc rozbieg, przesuwając nieustannie belkę startową, co wpłynęło na punktację, bo za krótszy lub dłuższy rozbieg dodawano lub odejmowano punkty. Doszły do tego niespodziewane poddmuchy wiatru. Wielu zawodników przymusowo przyspieszało lądowanie, by uniknąć upadku. Kilku innych po wyładowaniu wymachiwało ze złości rękami.

W efekcie przegrali faworyci. Lider klasyfikacji Pucharu Świata Norweg Anders Bardal był 10., a wicelider Austriak Gregor Schlierenzauer dopiero 16. Wygrał Austriak Martin Koch, drugi był Niemiec Severin Freund, a trzeci Robert Kranjec ze Słowenii.

W tym wietrznym konkursie całkiem dobrze spisali się nasi reprezentanci. W pierwszej serii dobre skoki oddali Piotr Żyła i Marcin Kot. Nieco słabiej skoczył Kamil Stoch. Po pierwszej serii Piotr Żyła zajmował trzecie miejsce. W drugiej serii oddał jednak słabszy skok przy niesprzyjającym wietrze, podobnie było z Marcinem Kotem. Poprawił się natomiast Kamil Stoch. W efekcie Polacy uplasowali się na następujących miejscach: Piotr Żyła – 7., Kamil Stoch – 11. (awansował z 24. miejsca), Marcin Kot – 12. oraz Klemens Murańka – 24. Nie powiodło się tylko Krzysztofowi Miętusowi, który został sklasyfikowany na 49. miejscu.

„Był to jeden z najlepszych konkursów w sezonie w naszym wykonaniu” – powiedział po zawodach trener Polaków Łukasz Kruczek. Niestety wiatr wypaczył nieco rywalizację. Współczynniki wiatru wyglądały nawet nieźle. Na dole panowały korzystne warunki, ale nie każdy zawodnik tam doleciał. Na pierwszych 15–20 metrach za progiem były duże zawirowania i turbulencje i nie wszyscy skoczkowie sobie z tym radzili.

Po tym konkursie niewiele się zmieniło w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata. Oto pierwsza dziesiątka: 1. Anders Bardal – 1295 pkt, 2. Gregor Schlierenzauer – 1172, 3. Andreas Kofler (Austria) – 1127, 4. Daiki Ito (Japonia) – 1066, 5. Kamil Stoch – 1025, 6. Thomas Morgenstern – 982, 7. Richard Freitag (Niemcy) – 954, 8. Severin Freund – 758, 9. Roman Koudelka (Czechy) – 758, 10. Robert Kranjec – 669. Miejsca pozostałych Polaków: 19. Piotr Żyła – 250 pkt, 36. Marcin Kot – 94, 49. Krzysztof Miętus – 49, 50. Aleksander Zniszczoł – 47, 60. Klemens Murańka – 17.

Jest to pierwszy sezon, w którym aż sześciu polskich skoczków zdobyło punkty w zawodach o Puchar Świata. Dodajmy, że wszyscy są młodzi i dopiero nabierają doświadczenia. Spokojna i rzetelna praca trenera Łukasza Kruczka zaczyna więc przynosić pozytywne efekty.

Skoczkowie kończą powoli rywalizację. Ostatnie konkursy odbędą się na skoczni w Planicy (16 III konkurs indywidualny, 17 III konkurs drużynowy, 18 III konkurs indywidualny). Można liczyć na dobry występ Piotra Żyły, który niedawno w norweskim Vikersundzie skoczył 232,5 m, ustanawiając tym samym rekord Polski w długości skoku (poprzedni rekord należał do Adama Małysza i wynosił 230,5 m).

KONIEC MARZEŃ

Mamy nowe stadiony. Nie mamy jednak ani jednej przyzwoicie grającej drużyny klubowej, która mogłaby na ich trybuny przyciągać widzów. Potwierdziły to występy Legii Warszawa i Wisły Kraków w Lidze Europejskiej. Obie drużyny odpadły z dalszej rywalizacji. Zostały wyeliminowane przez przeciętne zespoły, które w swoich krajowych ligach niewiele mają do powiedzenia. Wstyd, że mistrz Polski, krakowska Wisła, nie potrafił uporać się z Standardem Liege. A przecież belgijska piłka nożna jest na takim samym poziomie jak nasza. Z kolei Legia musiała uznać wyższość Sportingu Lizbona, który w portugalskiej ekstraklasie usadowił się w środku tabeli. Dlatego rozmieszyły mnie wypowiedzi zawodników Legii, że czują niedosyt po tych meczach i że rywal był do pokonania. Pewnie, że był do ogrania i należało to zrobić. Niestety, po raz kolejny się okazało, że nasze drużyny klubowe nie mają czego szukać na europejskich boiskach. Przed tymi spotkaniami w szeregach obu ekip panował optymizm – mówiono wyłącznie o zwycięstwie. Wyniki pokazały co innego. Koniec marzeń kibiców obu drużyn.

HENRYK MARZEC